

168



SZKLANA
MELPOMENA

*MOTTO: Chcieć radości bez cierpienia,
pracy bez wysiłku, nadziei bez zwątpie-
nień, sukcesów bez niepowodzeń, słoń-
ca bez chmur, światła bez cienia —
oto co znaczy życzyć sobie
najgorzej.*

STENDHAL

PEWNA zaprzyjaźniona aktorka sprezentowa-
ła mi na imieniny pełne wydanie dzieł Mo-
liera. Rzuciłem się bez tchu do lektury; jest
to bowiem jeden z najbardziej ulubionych moich
pisarzy; i oto, jaka była refleksja pierwsza po od-
łożeniu książek na półkę:

— Boże wielki, ile w tym wszystkim słabizny.
Co tam słabizny! Zwyczajnej grafomanii. Czegoś,
co najmniej szanujący się lektor najmniej szanują-
cego się wydawnictwa cisnąłby bez wahania do
najbliższego kosza.

Strach pomyśleć o skutkach takiej nietolerancji
do Moliera. Nie mielibyśmy ani „Świętoszka“,
ani „Mizantropa“, ani „Don Juana“. Nie miel-
ibyśmy — i co? Ano: świat byłby znacznie ubo-
wszy. I o wiele, wiele brzydszy.

Kultura — cóż to znaczy? Doceniać, smako-
wać, popierać rzeczy genialne. Tak, to przede
wszystkim. Ale kultura to także i co innego. Pew-
na wielkoduszność umiejąca dawać na kredyt.
Optymistyczna wyrozumiałość dla słabizny. Cza-
sem pozostanie na zawsze tym, czym jest. Po
prostu słabizną. Ale czasem jest zapowiedzią rze-
czy wielkich.

Coraz bardziej interesuje mnie niedzielny Te-
atr Komедii Współczesnej. Dlaczego? Humor dość
kwaśny w narodzie — a więc wszystkie światła
w stronę uśmiechu. Literatura jakoś radzi sobie
kiepsko z naszym dniem dzisiejszym; dajmy nieco

kredytu tematyce współczesnej. A że i Teatr Po-
niedziałkowy jakoś ostatnio kuleje...

POMYSŁ JEST ZNAKOMITY, WYKONANIE...

Do mieszkania „typowego małżeństwa“ przycho-
dzi listonosz, przynosi grubszą forszę; pieniądze
się nie należą, wiadomo, że pomyłka, ale nikt jej
nie chce prostować. Jak dają, to brać... Jakaś tam
uczciwość odzywa się, ale dyskretnie i niezbyt
gorliwie. Cóż za kalejdoskop reakcji i nastrojów.
Niepewność, strach, chciwość, bierze się tę forszę
i bierze. Czym to się skończy? Przez cały czas,
przynajmniej przez trzy czwarte sztuki jesteśmy
w ogromnym napięciu. Czy pomyłka się wyjaśni?
Co oni zrobią z tymi pieniędzmi? Przez cały czas

POMYSŁ, JAK POMYSŁ, ale wykonanie...

klania się nam coś z atmosfery małej stabili-
zacji: co tam skrupuły, forsa to grunt. Ciągłe
przypomina się to powiedzonko, że od ludzi, któ-
rzy naprawdę zarabiają, nie można przecież wy-
magać, aby w dodatku pracowali; czyż zarabianie
nie pochłania dość energii i uwagi?

Czuje się tu pazur dramaturga; podobnie jak
cały czas oczekujemy jakiejś kapitalnej bomby
o naszej biurokracji. Jak to się dzieje: setki księ-
gowych, kopy rewidentów, tuziny inspektorów,
tony papieru z różnymi „kontrolkami“, a oto go-
ściowi ciężkie pieniądze miesiąc w miesiąc płacą
i sami nie wiedzą (ani on nie wie!) za co. Zaraz,
skąd my to znamy? Czy przypadkiem nie z filmu?
Nie, nie mam na myśli żadnego filmu fabular-
nego; idzie mi o konkretny zespół przedsiębiorstw
zwany „Filmem Polskim“.

I pod koniec sztuki: cóż za rozczarowanie. Wszy-
stko poleciało w szwach. Zakończyło się najglu-
piej i bez żadnego sensu. Człowiek nawet nie
jest rozgoryczony. Po prostu mu żal. Taki pię-
kny środek, taki piękny początek, taki wspaniały
start i taka kraksa w finale.

KRAFFTÓWNA I PAWLIK

Nie przejmujemy się zbytnio. Tym poniosł po-
rażkę, to oczywista. Równie jednak oczywistą dla

mnie rzeczą jest, że jeśli wytrzyma ją psychicz-
nie, jeśli zabierze się do gruntownej przeróbki,
może powstać sztuka **wielkiego kalibru**. Używam
tych słów bez wahania, bo mimo wszystko **czuło**
się w tej sztuce wielki komediowy — czy farsow-
wy — oddech.

Nie przejmujemy się zbytnio także i z innego
powodu. Mieliliśmy okazję zobaczyć bardzo dobrą
kreację aktorską. Mam na myśli przede wszyst-
kim **Barbarę Krafftównę**. Od czasów blyśnięcia w
największym stylu w „Jak być kochaną“ jakoś
się tej zdolnej przecież aktorce nie darzyło. Nie-
dzielne przedstawienie było sygnałem — oby nie
fałszywym — że aktorka wraca do formy. Co
było szczególnie ciekawe w jej stylu gry? Cyto-
wałem już Mauriaka o małżeństwie: cierpka sym-

wenetrzną. Może to nie jest etyczne, nie jest
piękne, nie jest wzniosłe. Ale musicie przyznać:
to miłe i wygodne.

Otóż w tym właśnie tkwi największe nieporo-
zumenie. To nie jest ani wygodne ani miłe. Pi-
sałem kiedyś na tych łamach, analizując jakąś
radziecką sztukę: przerost troski o samego sie-
bie, nadwrażliwość na każde piknięcie serca, de-
presja przy byle nachmurzeniu się szefa, rozpacz
przy byle przeciwności, słowem — piekło, drzącz-
ka, frustracja i co tam jeszcze. Oto są skutki
owej egocentrycznej „małej stabilizacji“. To tylko
tak sympatycznie wygląda z wierzchu: wysoki
połysek, kip-smajling, oszczędzanie siebie, kon-
centrowanie się na własnej wygodzie.

Przeciw powierzchownemu blichtrowi filozofii
małej stabilizacji przemawia całe **rozsądne do-
świadczenie ludzkości**. I to, które streściło się w
powiedzeniu — że trzeba zgubić siebie, aby siebie
odnaleźć. I to, które wyznają marksiści, że czło-
wiek staje się dopiero sobą, stając się częścią
„spraw większych niż życie“. I to, o którym mó-
wią co rozumniejsi psychoanalitycy — że czło-
wiek, aby stać się naprawdę człowiekiem, musi
niejako urodzić się po raz wtóry, wyzwalając się
od „orientacji narcystycznej“ (Fromm).

Wiodącą rolę w tym duecie odgrywała nie-
wątpliwie Krafftówna. Wszelkie porównywanie
— oczywiście — kto grał lepiej, jest bezsensow-
ne; stwierdzić atoli należy, że kreacja Krafftów-
ny jakoś mocniej utkwiała w pamięci.

„Jak żywy“ był **Aleksander Dzwonkowski** w ro-
li listonosza. Coraz rzadsze jest u nas mistrzostwo
tego rodzaju, które polega na wspaniałym pod-
patrzeniu typów potocznie spotykanych, na od-
daniu ich sposobu bycia z fotograficzną wprost
dokładnością. Młodzi aktorzy krzywią się na to:
naturalizm. Zamiast krzywić się, spróbujcie to
zrobić, moi mili. I pomyślcie przez sekundeckę
o tym, że pewne znaczenie sztuki streszcza się w
tym, że... sztuka to zrobić. Wielka sztuka. Która
nie staje się odrobinę mniejszą przez to, że impli-
kuje znakomite rzemiosło. Dobrą robotę. Bez
której nie ma nic. Ani w polityce, ani w sztuce,
ani w miłości, ani w życiu.

JERZY MILEWSKI

TEATR KOMEDII WSPÓŁCZESNEJ. Stanisław Tym:
„Nie ma takiego problemu“. Reż. I. Adamska-Cywińska.
Scenogr. A. Sadowski. Aktorzy: B. Krafftówna, J. Cie-
ciński, A. Dzwonkowski, B. Pawlik.